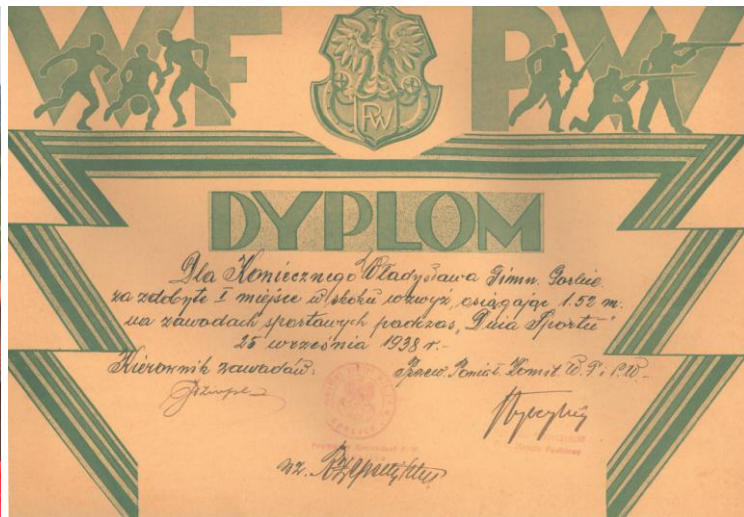


Z okupacyjnych wspomnień



Uciekinierka

W pierwszych dniach września 1939 roku wyruszyłem z domu wraz z siostrą Wisią, jej Mężem i dziećmi dołączając do wędrowni ludności polskiej na Wschód w nadziei, że gdzieś zostanie zorganizowany wojskowy opór a mężczyźni włączą się do walki zbrojnej z hitlerowskim najeźdźcą, w szeregach wojska polskiego.

Moje przeżycia, trudy i przerażenie były dokładnie takie, jakie przedstawia film o Janie Pawle II p.t. Karol a mianowicie: Nieopisane tłumy ludzi poruszające się z trudem pieszo lub różnymi pojazdami, grupy polskich żołnierzy z rozbitych oddziałów, pogubione dzieci i poszukujące się rodziny, nieludzkie zmęczenie, głód, pragnienie, straszne upały, a co najgorsze – naloty niemieckich samolotów, których piloci strzelali z broni maszynowej do bezbronnych ludzi - to nasze przeżycia podczas wielu dni.

Szczególnie wyraźnie zapadły mi w pamięć te momenty i wydarzenia, o których jestem przekonany, że zawdzięczam im swoje ocalenie w tej makabrycznej wędrowni.

Żony i dzieci policjantów, z którymi jechałem furmanką wróciły z drogi do swoich domów, my zaś, mężczyźni, poczuwaliśmy się do obowiązku dotarcia do polskiego wojska i udziału w walce. „Przecież gdzieś się w końcu przydamy” – mówiliśmy.

Po kilkunastu dniach dotarliśmy do Równego – miasta w dzisiejszej zachodniej Ukrainie. Tam dowiedzieliśmy się, że 17 września wkroczyła na ziemie Rzeczypospolitej Polskiej armia czerwona, której żołnierzy i czołgi zobaczyliśmy wkrótce na własne oczy. Niezadługo mój szwagier – Franciszek Chlipała, komendant polskiej policji został wezwany na zebranie do wskazanego budynku szkolnego. Udał się tam ze swoimi kolegami, też policjantami. Oczekiwałem na jego powrót na szkolnym podwórku. Po godzinach tego czekania zamierzałem wejść do środka, aby go odnaleźć i poradzić się, co mam dalej robić. W ostatniej chwili „coś mnie tknęło”, nasunęła mi się myśl, że w czasie mojego tam czekania do budynku wchodziłi różni ludzie, ale nikt nie wychodził. Z ciężkim sercem i wielkim wahaniem odszedłem stamtąd na umówione miejsce, do grupki moich współwędrowców. Oni czekali na mnie z wiadomością, że Warszawa jeszcze się broni i trzeba iść jej na pomoc. Oczywiście, tego zamiaru też nie udało się zrealizować.

W grupie przypadkowych towarzyszy niedoli szczególne zaufanie budził we mnie pewien polski żołnierz ze Śląska, który był spostrzegawczy, rozsądny a przy tym koleżeński.

Pewnego, kolejnego dnia nieludzko wyczerpani pieszą wędrówką (furmankę z koniem zabrali nam Ukraińcy) i męczącym upałem rozglądaliśmy się za noclegiem. Zauważyliśmy w pewnej wiosce otwartą stodołę pełną słomy, do której wchodził umordowani wędrowcy zapraszani przez gospodarzy. Ucieszyłem się i chętnie skierowałem się doń, ale mój Kolega powstrzymał mnie słowami: „Chodźmy stąd prędko, bo coś mi tu śmierdzi”. Po paru minutach szybkiego marszu usłyszeliśmy strzały, krzyki a spojrzawszy wstecz zobaczyliśmy wielką łunę pożaru. Najprawdopodobniej spalono żywcem polskich uciekinierów.

Ocalałem wówczas dzięki przypadkowemu towarzyszowi niedoli, który pomógł mi nie tylko wtedy. W kilku innych przypadkach, trudnościach, niebezpieczeństwach podejmował on słuszne decyzje ratując siebie i mnie. Czułem jakby się mną opiekował. Byłem wówczas 19-letnim uczniem szkoły średniej, nieobytym w świecie, on zaś przeszkolonym żołnierzem doświadczonym w kampanii wrześniowej, ale przecież nie musiał się mną przejmować!

Wspomnę jeszcze o jednej sytuacji, która poprzedziła nasze rozstanie a mianowicie: Po kilku dalszych morderczych dniach doszliśmy chyba do okolic Tarnobrzega, gdzie ujrzeliśmy stojący pociąg. Bez wahania wsiedliśmy do niego, bo nogi odmawiały nam posłuszeństwa. Dojechaliśmy tym pociągiem do Tarnowa. Pociąg stanął na stacji a na peronie uzbrojeni Niemcy pilnowali, aby nikt nie wysiadł. Mój Kolega patrząc przez okno zauważył, że z wagonu wysiadła pasażerka z bagażem, podeszła do jednego z Niemców, pokazała mu pismo i nawiązała z nim rozmowę po niemiecku.

Mój towarzysz podsłuchawszy tę rozmowę (znał dobrze ten język) kazał mi natychmiast brać plecak i iść za sobą. Idąc przodem podszedł do Niemca i powiedział, że mamy skierowanie do domu noclegowego przy dworcu w Tarnowie. Strażnik kazał nam iść za Niemką oddalającą się do wyjścia z dworca. Wkrótce znaleźliśmy się w budynku szkolnym, w którym było sporo niemieckich podróżnych z bagażami. Zauważyliśmy, że portier pilnuje drzwi wejściowych od wewnątrz, otwiera je od środka i wpuszcza przychodzących. Po wspólnej rozmowie podjęliśmy decyzję o naszym rozstaniu. On postanowił jakimś pociągiem dojechać na Śląsk i tam zwiać, a ja chciałem natychmiast skierować się w stronę Gorlic.

Od tego momentu udając śpiącego czuwałem w pobliżu drzwi i obserwowałem portiera. Nad ranem, kiedy on gdzieś odszedł, szybko otworzyłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz. Doczekawszy poranka minąłem dworzec i znalazłem się na drodze idącej na południe. Byłem wolny! I znów pomógł mi mój przyjaciel, który zachował się jakby był moim Aniołem Stróżem. Gdziekolwiek on się teraz znajduje polecam go Miłosiernemu i Wszechmocnemu Bogu!

Tego październikowego poranka miałem przed sobą około 70 km – też niemały kawał drogi. Wkrótce zauważyłem jednak wyprzedzające mnie furmanki z beczkami, w jakich się woziło naftę, benzynę, ropę. Zapytałem jednego furmana dokąd jedzie. „Do rafinerii w Gliniku Marianpolskim” – odpowiedział. Zabrał mnie na wóz, gdy mu obiecałem, że będę jego przewodnikiem po Gorlicach. Poczulem ogromną ulgę i radość, a gdy w dodatku w Gorlicach spotkałem naszego sękowskiego sąsiada p. Rączkowskiego i jego furmanką dojechałem pod nasz dom, zdawało mi się, że śnię.

Tak więc po blisko 2 miesiącach stanąłem na progu rodzinnego domu. Jeszcze dziś słyszę w uszach pełen przerażenia głos siostry Wisi „Władziu, a gdzie Szwagier?”. A jej mąż był już wówczas najprawdopodobniej w ciężkim więzieniu sowieckim, gdzie czekały Go okrutne przesłuchania.

Ja - cudem uniknąłem Jego losu, gdybym bowiem chcąc go znaleźć wszedł do tej szkoły, gdzie rzekomo było zebranie, też chyba zostałbym zaaresztowany. Od domowników usłyszałem, że właśnie w dniu dzisiejszym odbyła się rano msza święta o nasz szczęśliwy powrót. Uśmiechnąwszy się pomyślałem, że dlatego na odcinku od Tarnowa do Sękowej te furmanki podjeżdżały do mnie jakby zamówione.

A naszemu drogiemu Franiowi Chlipale Pan Bóg też cudem uratował życie, lecz on wrócił do nas dopiero po 20 latach przeszedłszy długą, pełną cierpień drogę krzyżową. Ja powinienem Panu Bogu ciągle dziękować za ustawiczną opiekę i pomoc – Bogu niech będą dzięki!

Na przełomie lutego i marca 1941 mężczyźni z wyznaczonych roczników, między innymi urodzeni w 1920 r., zostali powołani do odbycia rocznej służby przy budowie dróg bitych i kolejowych, głównie ciągnących na wschód. Najpierw zostaliśmy zakwaterowani w Gorlicach, w dawnej bursie uczniowskiej. Pracowaliśmy przy rozładowywaniu wagonów napełnionych kopiasto dużymi kamieniami. Każdemu przydzielono jeden taki wagon. Przy tej pracy wolno było posługiwać się tylko łopatą i widłami bez jakiegokolwiek ułatwiania sobie tej roboty np. przez opuszczanie kłapy. Pamiętam moje straszliwe zmęczenie, niezwykle trudno było bowiem wbić łopatę czy widły między te kamienie. Poza tym chodziliśmy pieszo do Symbarku, gdzie wybieraliśmy kamienie z rzeki Ropy. Od głodu ratowała mnie rodzina przynosząc z Sękowej jakieś jedzenie. Po miesiącu wywieziono nas na odcinek Jasło-Rzeszów do wsi Kalembina położonej niedaleko Strzyżowa, gdzie zostaliśmy zakwaterowani w domu ludowym, w dużej sali, w której nie było ani łóżek, ani żadnych mebli, a pomieszczenie było nieogrzewane. Na podłodze leżało trochę słomy, spaliliśmy na niej jak śledzie w beczce. Z sufitu kapłała na nas wciąż woda. Pracowaliśmy na deszczu w strasznym zimnie. Kilofami kuliśmy istniejącą drogę, wyrzucając na boki ziemię z piaskiem i kamieniami, a w to miejsce szedł podkład z grubego kamienia i żwiru. Praca trwała od rana do nocy.

W lasach koło Strzyżowa budowano też bunkry dla Hitlera i jego świty. Przechodząc tam obok innego obozu junaków pomyślałem, że idę obok piekła. Słysząc tam było straszliwy wrzask, widziałem, ludzi noszących w rękach bele i szyny kolejowe, które układali i ubijali rękami. Vorarbeiterzy bez przerwy darli się na nich i gonili do szybszej roboty. W naszym obozie było ciężko ale nie aż tak strasznie.

Po jakimś czasie skierowano nas bliżej Jasła do Wiśniowej, gdzie był barak z piętrowymi łózkami. Pracowaliśmy w kamieniołomach wożąc kamienie wózkami po torach na wyznaczone usypisko. Pchaliśmy te wózki w górę i w dół po torach. Rąbałem również w skałach otwory dla materiałów wybuchowych. Odstrzał robiono podczas przerwy obiadowej. Z tego okresu utkwił mi w pamięci strasznie zimny dzień 8-go maja. Padał wtedy deszcz ze śniegiem.

W Wiśniowej byliśmy do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej pod koniec czerwca 1941r. Uradowany tym wydarzeniem uciekłem wraz z grupą Sękowian do domu. Po tygodniu komendant naszego obozu przysłał do nas posłańca wzywając do natychmiastowego powrotu i obiecując darowanie kary za dezercję. Rzeczywiście po naszym powrocie nie doznaliśmy żadnych sankcji. Trzeba dodać, że komendant ten, z pochodzenia Austriak, starał się w miarę możliwości być człowiekiem. W innych obozach byli dużo gorsi zwierzchnicy.

Potem przeniesiono nas do Frysztaka, gdzie też budowaliśmy drogę. Tu z kolei zamieszkaliśmy w kamienicy jednopiętrowej. Po otwarciu drzwi rzuciła się na nas chmara wygłodzonych pcheł i wszy. W izbach było strasznie brudno, na pryczach leżała nie słoma, lecz sieczka, wszędzie było pełno kurzu i robactwa. Wcześniej trzymano tam Żydów w tych strasznych warunkach. Jedzenie było marne: rano czarna kawa zbożowa i kawałek chleba, na obiadokolacje zupa, w której pływały kawałki ziemniaków i liści kapusty.

Trzeba było uważać, bo pływały też gąsienice. Czasem udało się na niedzielę uciec do domu i przywieźć coś do jedzenia. Miałem szczęście przez jakiś czas być zaopatrzeniowcem. Jeździłem autem wraz z dwoma towarzyszami po okolicznych wioskach prosząc, aby pozwolono nam ukopać w polu trochę ziemniaków, czy zerwać jakieś jarzyny. Nie było to urzędowe polecenie, lecz prośba, ale ludzie patrząc na nas na ogół się zgadzali. Raz pojechałem do Krosna po worki kaszy. Ujrzałem wtedy Żydów pracujących na drodze, wyciągali do nas ręce prosząc o coś do jedzenia. Ludzkie szkielety błagały o litość, a my nie mogliśmy im pomóc.

Po tej obozowej zupie rozchorowałem się na straszliwy rozstrój żołądka połączony z wysoką gorączką. Tamtejszy lekarz obawiając się, że może to być tyfus brzuszny skierował mnie do szpitala w Jasle. Jak przez mgłę pamiętam, że leżałem za kratami, pewnie w szpitalu zakaźnym. Po tygodniu mignął mi w drzwiach nasz komendant, widać przyszedł mnie sprawdzić. Stosunkowo szybko poczułem się lepiej i samowolnie pojechałem do domu. Byłem jednak świadomy, że muszę wrócić do baudienstu, wszak Niemcy zwyciężali w wojnie z ZSSR, a front przesuwał się wciąż na wschód.

Po jakimś czasie chyba w październiku przenieśli nas do Gorlic, gdzie budowaliśmy drogę przez miasto. Tu zastępcą komendanta był niejaki Bledziwski, zięć Kretowiczów z Ropicy Ruskiej (dziś Ropicy Górnej).

Moja mamusia poszła do tych sąsiadów z prośbą i pewną sumę dolarów chowanych na „czarną godzinę”, dzięki czemu zostałem na ostatnie tygodnie służby pracownikiem biurowym w magazynie z butami i odzieżą. Na zakończenie dostałem świadectwo, że ukończyłem baudiienst jako bürobeamter. Bardzo śmieszył mnie ten tytuł.

Z przywołanej garstki wspomnień wynika, że Niemcy od początku okupacji uruchomili proces zastraszania i wyniszczania młodych Polaków poprzez głód, zimno, katorżniczą pracę i różne okrucieństwa. Cieszę się, że to wszystko przetrzymałem i za to z całego serca modlę się słowami – Bogu niech będą dzięki!

Moje wstąpienie do Armii Krajowej i służba wojskowa w niej

W latach okupacji często odwiedzał nas Jan Krężel, dobry znajomy mojej siostry Wisi z czasów, gdy wraz z mężem i dziećmi mieszkała w Gładyszowie. Był on przedwojennym starszym sierżantem straży granicznej w Koniecznej.

Przejeżdżając koło naszego domu do Gorlic chętnie wstępował na pogawędkę o wspólnych problemach okupacyjnego życia. Pewnego razu na przełomie roku 1942/43 zastał mnie samego. Podczas rozmowy zeszliśmy na politykę a szczególnie na sprawy okupacji i ruchu oporu. Korzystając z okazji zapytał mnie wręcz, czy zgodziłbym się wstąpić do walki podziemnej z okupantem w Armii Krajowej. Wyraziłem zgodę i oczekiwałem dalszego biegu wydarzeń. Po pewnym czasie zaprowadził mnie do nieznanego mi domu w Gorlicach, w którym mieszkał chyba ktoś z Gorlickiego Kedywu Armii Krajowej.

Zostałem w przedpokoju, gdzie dość długo siedziałem skromnie w kącie, do którego wchodziłi różni ludzie. Z pokoju tego w pewnej chwili wyszła dziewczyna i pobiegła po schodach na górę. Ponieważ ją znałem, domyśliłem się, że jestem w domu pp. Kłapkowskich. Po jakimś czasie wyszedł Krężel i oznajmił, że pewien człowiek zgłosił się do mnie, do domu. Czekałem na niego dość długo, a w międzyczasie ugadałem już paru chłopaków. Zauważyłem, że moją propozycję przyjmują z zainteresowaniem a nawet z zapałem. W końcu przyszedł na naszego domu obcy mi człowiek. Przedstawił się, że będzie moim dowódcą, a jego pseudonim brzmi „Leon”. Ustaliliśmy mój pseudonim „Antek” oraz pseudonim naszego łącznika – „Koniczynka” podkreślając, że tylko i wyłącznie przez niego mam się porozumiewać z dowódcą – czyli Leonem. Polecił mi zwerbować ludzi nadających się i chętnych do konspiracyjnej służby w Armii Krajowej.

Gdy najbliżej wiosny liście pokryły gałęzie drzew, pewnego wieczoru ukryci w parku Apoli wraz z kilkunastoosobową grupą młodych ludzi złożyliśmy w obecności naszego dowódcy uroczystą przysięgę wojskową i staliśmy się żołnierzami Armii Krajowej. Później dowiedziałem się, że moim dowódcą był Leon Kalisz, były wachmistrz żandarmerii wojskowej ze Lwowa, łącznikiem zaś mój rówieśnik z Dominikowic Muzyka (imienia nie pamiętam). Sękowska partyzancka trwała do końca stycznia 1945r. kiedy to otrzymałem od Leona zawiadomienie o wydanym przez ogólnopolskie dowództwo AK rozkazie zaniechania dalszych działań. Nasza służba w AK trwała więc ponad 600 dni. Była ona równoznaczna, ze służbą w wojsku polskim.

Wdzięcznie wspominam kolegów z drużyny. Bez nich, sam nie zrobiłbym przecież niczego. Powierzone im zadania wykonywali umiejętnie i odważnie. Szczególnie często współpracowałem z Jędrkiem i Edkiem Potokiem, Staszkiem Liszką, Zygmuntem Gabryjelem, Staszkiem Janikiem, Bronkiem Kukłą, Mietkiem Tumidajskim, pozostałym też dużo zawdzięczałem, ale ze względu na zasady konspiracji nie kontaktowałem się z nimi bezpośrednio np. Michałem Koniecznym, braćmi Liszkami z Koźleńca, niektórymi chłopakami z Męcinki, których prawie nie znałem a okazało się, że z jednym z nich – Bolkiem Przybyłą (obecnie z Piły) do tej pory utrzymuję kontakt korespondencyjny.

Były też osoby, które zgłosiły gotowość współpracy na wypadek potrzeby np. w służbach sanitarnych m.in. Anna Tokarżówna z Sękowej.

Polskie Państwo Podziemne

Powstało ono po klęsce Francji i funkcjonowało na ziemiach polskich w stałej łączności z rządem emigracyjnym w Londynie. Działo w różnych dziedzinach: wojskowej, administracyjnej, sądowniczej, gospodarczej, edukacyjnej, w służbie zdrowia i in. Struktury tego państwa dzieliły się na dwa człony: wojskowy i cywilny. W całym kraju, a więc i na naszym terenie, oba te człony współpracowały ze sobą i wspierały się wzajemnie.

Przykładem walki cywilnej organizowanej przez władze konspiracyjne było tajne nauczanie. Była to walka na froncie obrony kultury narodowej, w celu podtrzymywania polskiej świadomości oraz krzewienia patriotyzmu wśród dzieci i młodzieży. Na naszym terenie od 1941r. działała w Gorlicach Powiatowa Komisja Kultury i Oświaty oraz Państwowa Komisja Egzaminacyjna. Szkolny aktyw składał się z kilkudziesięciu osób. Miejsmem prowadzonych lekcji były, często zmieniane, prywatne mieszkania w mieście i okolicznych wsiach, a Punkty Egzaminacyjne mieściły się w mieszkaniach **Czyżyków**, Gawlikowej, ks. Górnickiego, Guniów i Zabierowskich. Za swoją działalność aresztowani zostali prof. prof. Lewicki, Pazurkiewicz i Rusinek. Lewicki i Rusinek przeżyli Oświęcim, a Pazurkiewicz zginął.

W gminie Sękowa uczyli: Maria Tokarzówna – Tenerowicz i prof. Józef Tokarz w Sękowej; Maria Gabryel i Tadeusz Honkowicz w Siarach; Tadeusz Muzyka w Dominikowicach.

Bardzo dużo nauczycieli działało również w innych strukturach Polski Podziemnej. Ja też, w miarę możliwości, starałem się przerabiać program klasy przedmaturalnej, czyli I liceum (ówczesna szkoła średnia składała się z czterech klas gimnazjum i z dwóch klas liceum) wraz z kolegami – Jankiem Niedzielą i Zygmuntem Gabryelem. Fizyki uczył nas, oczywiście potajemnie, Kazimierz Gabryel – student Politechniki Krakowskiej.

Trudności życia okupacyjnego

Okres okupacji hitlerowskiej był czasem ustawicznej niepewności, niepokoju i zagrożenia. Dla nas żołnierzy Armii Krajowej oraz dla innych ludzi związanych z podziemiem był to czas stałej gotowości do wykonywania różnych, nieprzewidywalnych rozkazów wynikających z aktualnych sytuacji.

Ciągłym zagrożeniem dla rolników były obowiązkowe dostawy tzw. kontyngenty. Na naszym terenie praca na roli była ciężka i mało wydajna. Poza tym przeważały gospodarstwa średnie i małorolne. Skromne zbiory z trudem starczały do następnych. Bydło, trzoda chlewna, drób hodowane były w niewielkich ilościach, wszystko to jednak było zarejestrowane, spisane a nawet zakolczykowane przez gminnego urzędnika tzw. „targownika”.

Sprzedaż na wolnym rynku, albo ubój na własny użytek były całkowicie zabronione i ciężko karane. A przecież mieszkańcy wsi żywili się jedynie tym co zebrali z pola. Prawie wszyscy jadali bardzo skromnie, a niektórzy wręcz głodowali. Trzeba było też żywić ludzi biednych, których stale przybywało. Po upływie paru miesięcy okupacji zakwaterowano w Sękowej i wsiach sąsiednich Polaków wysiedlonych z Poznańskiego, pojawiali się uciekinierzy z ziem wschodnich np. z Borysławia, a pod sam koniec mieszkańcy doszczętnie zniszczonego Jasła (rynek i ulice Gorlic były nimi przepełnione). Chodzący po domach głodni ludzie prosili choćby od jeden ziemniak a nawet o obierki kartoflane. Moja mamusia pomagała każdemu.

Wycofujący się żołnierze hitlerowscy konfiskowali co popadło, a obowiązkowe dostawy żywności powiększano i surowo egzekwowano. W tej dziedzinie też wykonywaliśmy rozkazy dowództwa. Zorganizowaliśmy m.in. w urzędzie gminy Sękowa zniszczenie całej dokumentacji w biurze targownika. Akcja była wyznaczona we wskazanym dniu na godzinę 12-tą w południe. Grupa, nieznanych w Sękowej, uzbrojonych młodych ludzi wtargnęła do budynku gminnego a szczególnie do biura targownika. Udało się zniszczyć wszystkie spisy zwierząt kolczykowanych a także wykazy i terminarz obowiązkowych dostaw.

Zniszczono też ewidencję ludności. Odchodzący partyzanci zabrali jeszcze maszynę do pisania i powielacz potrzebne do sporządzania prasy podziemnej.

Ja przez cały czas siedziałem w swoim biurze podatkowym, gdzie pilnie i bez przerwy podliczałem księgi podatkowe udając, że jestem tym całkowicie pochłonięty.

Nagle zobaczyłem przed sobą twarz Sagassera, Niemca mieszkającego w Sękowej od lat przedwojennych, właściciela kopalni ropy naftowej. Wszedł on niespodziewanie i całkowicie bezszelestnie. Podjął rozmowę, która była dla mnie bardzo trudna. Wypytywał, kto z Sękowej mógłby współdziałać w napadzie na urząd gminny. Starłem się zachować maksymalny spokój udając, że nic nie wiem o żadnym napadzie i odwrócić jego podejrzenia dotyczące sękowskiej młodzieży. Powiedziałem, że znam wielu z siatkówki i innych gier sportowych, po których rozchodzimy się po domach i o nic nikogo nie mogę podejrzewać. Wkrótce zjawiała się niemiecka policja, ale na szczęście nie ujęto żadnego ze sprawców.

Informacja i propaganda

Hitlerowska okupacja spadła na nasz kraj jak grom, a jej zbrodnie i okrucieństwa przekraczały ludzką wyobraźnię. Do powiększenia ogólnego przerażenia i bólu włączyła się goebelsowska propaganda nachalna i agresywna, której celem było złamanie ducha podbitego narodu.

Na samym początku „panowania” Niemcy wydali kategoryczny zakaz posiadania radiodbiorników, za złamanie którego była kara śmierci, a w najlepszym wypadku obóz koncentracyjny, gdzie śmierć też nie próżnowała. Tak więc zostaliśmy całkowicie odizolowani od wiadomości z Europy i Świata. W Polsce pojawił się narastający głód prawdziwych, rzeczywistych wiadomości. Powszechne oczekiwanie, że Francja i Anglia lada dzień przybędą z pomocą a hitleryzm zostanie unicestwiony podtrzymywało w nas wiarę i nadzieję. Ogólne pragnienie kontaktów ze Światem sprawiło, że na gorlickim terenie w samym mieście i okolicy organizowano potajemne nasłuchy radiowe, sporządzano podziemne informatory oraz wydawano nielegalną prasę. Bardzo aktywny był m.in. profesor Motyka – wybitny historyk z liceum gorlickiego. Szły więc do ludzi wieści, może nie całkiem prawdziwe, ale zawsze pocieszające i mobilizujące, a o to właśnie chodziło. Z czasem nastąpił w całym kraju niebywały rozwój prasy konspiracyjnej, która utrzymywała kontakt Podziemnego Państwa Polskiego ze społeczeństwem, przekazując również polecenia, nakazy i wezwania do uprawiania sabotażu wobec niemieckich zarządzeń na każdym miejscu i w każdej możliwej sytuacji. Niestety w czasie nasłuchów radiowych, sporządzania gazetek i ich kolportowania wpadło bardzo dużo ludzi, ofiarnych patriotów, którzy za swoją służbę dla narodu zapłacili wielką a nawet najwyższą cenę. Do Sękowej prasa podziemna docierała co tydzień, przynosił ją Koniczynka, mój łącznik z dowódcą.

Ja też uruchomiłem mój kryształkowy aparacik, do którego dołączaliśmy antenę mocując ją na wierzchołku trójkąta ropy naftowej. Przeraziliśmy się, gdy pewnej nocy radio nagle umilkło, bo ktoś zrzucił ten przewód. Na szczęście skończyło się na strachu.

Z tematem tym łączy się wspomnienie, które wbiło się w moją pamięć i trwa w niej do dziś. Było to w roku 1944. W pobliżu naszego domu mieszkała rodzina volksdeutsche, która za podpisanie volkslisty otrzymywała od Niemców różne przywileje. Jednym z nich było zezwolenie na posiadanie radiodbiornika. Radio to całymi godzinami „ryczało” na całą okolicę (latem przez otwarte okna) przekazując komunikaty o „zwycięstwach Niemiec na wszystkich frontach” słyhać też było niemieckie hymny patriotyczne, marsze wojskowe i tym podobne audycje. Bardzo to irytowało i przygnębiało przymusowych słuchaczy. Dostaliśmy zadanie zlikwidowania owego aparatu. Wykorzystałem do tego celu byłego żołnierza niemieckiego, zbiega z armii hitlerowskiej. Był on synem sękowskiego wójta, też volksdeutsche, któremu z czasem zabrano syna i wcielono go do armii. Po ucieczce ukrywał się on na naszym terenie. Miał mundur, broń, dobrał sobie kogoś do pomocy i bez trudności odebrał radio, a przy okazji rozbroił posterunkowych policji w Ropicy Ruskiej (Górnej), zdobywając dla nas trochę broni. Wkrótce otrzymałem od Leona rozkaz dostarczenia mu tego radia. Po namyśle zdecydowałem, że zrobię to osobiście ponieważ, jako pracownik urzędu gminnego w Sękowej mogłem poruszać się po okolicy nie budząc podejrzeń, a w dodatku zwykle około godziny 12-tej jeździłem do Gorlic po pocztę.

Tego dnia, przed wyjazdem, jakby tknięty przeczuciem, wziąłem ze sobą odpis rozporządzenia dla sołtysów dotyczącego dostarczania przez rolników żywności do niemieckich kasyn oficerskich. Wsadziłem radio do worka po ziemniakach, który owinąłem koło kierownicy roweru i pojechałem w stronę Dominikowic. Po kilku kilometrach zauważyłem w pobliżu domu sołtysa Dominikowic wielkie auto z budą oraz grupę ludzi

wsiadających doń i uzbrojonych żołnierzy niemieckich. Jeden z nich podszedł do mnie krzyknął „halt!” kazał mi zostawić rower a samemu iść do auta. Jak łatwo było się domyślić Niemcy zorganizowali przed domem sołtysa „łapankę” na przypadkowych, Bogu ducha winnych, ludzi w celu wysłania ich na przymusowe roboty w głąb Niemiec. Chyba pod wpływem strachu szybko przypomniałem sobie dawno nieużywane niemieckie słówka i pokazując mojemu rozmówcy papier z urzędu gminnego wyjaśniałem, że jadę do sołtysów w bardzo ważnej i pilnej sprawie dotyczącej dostawy przez rolników żywności do niemieckich kasyn oficerskich. On wahał się i oglądając papier przypatrywał się mojemu bagażowi, ja zaś jeszcze głośniejszym głosem przekonywałem go, że bardzo się spieszę. O dziwo, uwierzył mi i kazał iść do sołtysa. Pchając rower wszedłem do sieni domu sołtysa, która przecinała budynek na przestrzał. Nie było w niej nikogo, zdjąłem z roweru mój bagaż i postawiłem go w kącie za drzwiami, po czym odczekawszy odpowiednią chwilę wziąłem rower i drugimi drzwiami wyszedłem na zewnątrz. Po kilkunastu krokach pomyślałem: „co ja najlepszego zrobiłem, zostawiłem chłopu nieszczęście”, zawróciłem więc po ten nieszczęsny worek, umocowałem go na rowerze i ruszyłem w drogę. Nie za długo jednak natknąłem się na drugiego niemieckiego strażnika, który też mnie zatrzymał, ja znów ukazałem papier i gorliwie tłumaczyłem mu moją niemczyznę, że spełniam bardzo ważne obowiązki służbowe dodając, że jego kolega sprawdził wszystko i pozwolił mi iść. Wskazałem mu gestem i wzrokiem tego żołnierza, który zauważył naszą gestykulację i domyślając o czym mowa, skinął głową. Strażnik pozwolił mi iść dalej. Chyba dopiero po upływie pewnego czasu uświadomiłem sobie, jak wielkie niebezpieczeństwo mi groziło. Straszne skutki spadłyby nie tylko na mnie ale i na moich bliskich. A po latach widzę coraz wyraźniej, jak często w moim życiu chroniła mnie Boża Opatrzność, o którą wytrwale modlili się moi Rodzice i Rodzeństwo, najczęściej na różańcu.

Kontakty z oddziałami leśnymi AK przebywającymi na stałe w lesie

Naszym stałym obowiązkiem było utrzymywanie łączności z „lasem” a w razie potrzeby udzielania wzajemnej pomocy. Przypominam sobie m.in. jak pewnego dnia otrzymałem rozkaz zorganizowania natychmiastowego przewiezienia rannego partyzanta z lasu do szpitala w Gorlicach. Przekazałem to niełatwe zadanie Zygmuntowi Gabrielowi, ponieważ mieszkał on w szkole w Górnych Siarach, skąd dostęp do lasu był najłatwiejszy, a poza tym Zygmunt przyjaźnił się z córką dyrektora szpitala dra. Rybickiego. Lekarz ten współpracował z ruchem oporu. Jego zaangażowanie się było szczególnie niebezpieczne, gdyż np. ranny pacjent był wielkim zagrożeniem, a szpital był bacznie obserwowany przez okrutne gorlickie gestapo. Dr Rybicki dostarczał nam też środków opatrunkowych i wszystkiego, co było potrzebne w podręcznych apteczkach.

Zdobywanie broni

Podstawowym i stałym obowiązkiem żołnierzy AK było zdobywanie i gromadzenie broni. Przewidywano, że w przyszłości dojdzie do ogólnonarodowego powstania przeciw okupantowi. Ponadto broń mogła być niezbędna w różnych sytuacjach przy wykonywaniu przekazywanych nam rozkazów.

Na naszym terenie już 7-go września 1939 r. grupa osaczonych żołnierzy polskich rozbroiła się w lesie znajdującym się w rewirze gajowego Władysława Smędowskiego, gdzie pozostawiono 40 karabinów ukrytych pod stertą gałęzi. Podobnie było w wielu innych miejscowościach. Zgromadzone arsenały często wpadały w ręce okupanta a wartość pozostałych topniała z powodu małej ilości amunicji. Tak więc potrzebną broń starano się zdobywać przy każdej okazji podczas całej okupacji. Szczególnie pamiętam jak latem 1944 r. organizowane były na trasie Gorlice – Żmigród akcje na niemieckie tabory wojskowe. Ja uczestniczyłem w takiej operacji w okolicy Męciny Wielkiej. Tam rozbito kilkanaście taborów patroli niemieckich zdobywając ponad 100 sztuk broni, wiele amunicji i granatów. Nieco później w ten sam sposób arsenał placówki powiększył się o kilkadziesiąt sztuk karabinów maszynowych.

Ja też miałem swój karabin maszynowy zwany „pepeszką” z którym chodziłem na akcje. Ukrywałem go w stodole głęboko w sianie. Raz struchlałem, gdy ujrzałem Niemca grzebiącego w sianie dokładnie w miejscu, które było moim schowkiem. Na szczęście moja „pepeszka” była schowana trochę głębiej.

Koncentracja wojsk Armii Krajowej podczas powstania warszawskiego

Jednym z najtrudniejszych wydarzeń w mojej służbie wojskowej był udział w koncentracji wszystkich oddziałów Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich naszego regionu w lasach Kwiatonowic i Bugaja. Zebrało się tam kilkaset ludzi. Czekaliśmy na mający nastąpić zrzut

broni. Po kilku dniach najprawdopodobniej zadenuncjonowani przez tamtejszego leśniczego zostaliśmy otoczeni i zaatakowani przez wojsko niemieckie. Podjęliśmy ostrą, trudną ale zwycięską walkę. Umiejętności i odwaga naszego dowódcy „Orlika” sprawiły, że przepędzeni Niemcy wycofali się a nam udało się wydostać z okrążeń i przejść do przeciwległego lasu, a Niemcy do lasów bali się wchodzić. W walce nikt nie zginął a po drodze rozbiliśmy jeszcze hitlerowców przebywających we wsi. Dowództwo wydało rozkaz aby małymi grupami wracać do swoich domów, a tym którzy nie mogli wrócić zapewniono miejsce w oddziałach leśnych. Wracaliśmy w piątkę. Po paru godzinach znaleźliśmy się w pobliżu rzeki Ropy, okolicy, w której była gęsta mgła. Ponieważ byliśmy na otwartym terenie szukaliśmy wzrokiem jakiegoś lasu. Zobaczyliśmy drzewa i podeszliśmy tam. Ale okazało się, że był to sad, a więc w pobliżu były domy. W tym momencie wyszedł z bocznej drogi niemiecki patrol. Na nasz widok wartownicy stanęli jak wryci, my też. Oni mieli broń na ramionach, a my w rękach. Jeden z kolegów odbezpieczył broń. Ja powiedziałem: „Nie strzelać!”. Niemcy zrobili w tył zwrot i odeszli. My też odwróciliśmy się i wiali ile sił w nogach.

Byłem wtedy poza domem ponad tydzień, ale dzięki Bogu szczęśliwie wróciłem z niełatwej eskapady. Do pracy w urzędzie gminnym już nie wróciłem, bo trudno byłoby mi usprawiedliwić moją nieobecność.

Zakończenie

16 stycznia 1945r. na ziemię gorlicką wkroczyli żołnierze radzieccy. Zakończyła się straszliwa okupacja hitlerowska.

W Gorlicach natychmiast otwarto szkoły. Dostałem się do ostatniej klasy liceum matematyczno-fizycznego, gdzie w lutym 1946r. zdałem maturę i pojechałem do Wrocławia, bo tam, jak poinformował mnie kolega, można było znaleźć pracę i równocześnie studiować.

Akowcami zaczęto zapelniać więzienia, ale i tym razem cudem uniknąłem straszliwego losu. Pozostała jednak we mnie gorycz i poczucie niesprawiedliwości.

Po około 40 latach doczekałem się zaproszenia na uroczyste odsłonięcie Pomnika zabitego żołnierza Armii Krajowej – Mieczysława Tumidajskiego, który zginął w grudniu 1944r. w zasadzce urządzonej przez Niemców obok drogi Bielanka-Łosie. Był on z Gorlic, należał do oddziału Kmicica. Uroczystość odbyła się w Bielance. Pomnik ten ustawiono dokładnie w miejscu, gdzie żołnierz ten padł od niemieckich kul. Organizatorami uroczystości były gorlickie władze. Przybyli też nauczyciele z młodzieżą szkolną, która wykonała patriotyczny i przejmujący program artystyczny. Oboje z Żoną byliśmy bardzo wzruszeni.

Pomnik ten przypomina licznych bohaterów ziemi gorlickiej, którzy w walce o wolność Ojczyzny i w skutek hitlerowskich represji zapłacili najwyższą cenę – utratę życia. Pozwolę sobie tu przytoczyć zakończenie książki Józefa Bieńka „Nad brzegami Ropy. Z dziejów Wojskowego Ruchu Oporu w Ziemi Gorlickiej”: „Otóż w sumie, w wyniku działań wojennych, na frontach, w więzieniach, w obozach, na placach straceń, w akcjach pacyfikacyjnych i eksterminacyjnych, łącznie z ludnością żydowską, powiat gorlicki od 7 września 1939r. do 16 stycznia 1945r. stracił 8623 osoby. Zaś straty materialne obliczone zostały na 300 mln. zł według cen z 1939r.”

Mojej Żonie – współuczestniczce niektórych przeżyć okupacyjnych a także Dzieciom i Wnukom, którzy wiele razy zachęcali mnie do przekazania pewnych wspomnień z II Wojny Światowej

opowiedział

Władysław Konieczny

były żołnierz Armii Krajowej nr. legitymacji 172665.



Władysław Konieczny zmarł 2 lutego 2012 r. przeżywszy 91 lat, pochowany został w Krakowie na cmentarzu Batowickim

